

Rozdział 1



Weronika Kochanowska zawsze uważała, że Charles Dickens wiedział o świętach coś, czego w dwudziestym pierwszym wieku nikt nie rozumiał. *Opowieść wigilijna* była dla niej nie tylko książką, ale czymś w rodzaju świętego pisma – historią o tym, jak człowiek może się zmienić, jeśli tylko pozwoli sobie spojrzeć na własne życie z perspektywy trzech duchów: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Problem polegał na tym, że w grudniu 2025 roku, siedząc w redakcji „Warsaw Life” o wpół do dziesiątej wieczorem, czuła się bardziej jak Ebenezer Scrooge przed przemianą niż po niej.

Ekran laptopa świecił jej prosto w twarz, a kursor migał niecierpliwie w połowie zdania o „subtelnej

elegancji świątecznych stroików z eukaliptusa”. Eukaliptusa! Jakby ktokolwiek w Polsce wybrał go zamiast jodłowych gałązek z lasu dziadka.

– Weroniczka, czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? – Głos matki brzmiał przez słuchawki iPhone’a jak echo z innego świata, takiego, w którym ludzie mieli czas na rozmowy telefoniczne dłuższe niż trzy minuty.

Weronika przełożyła telefon do drugiej ręki i jednocześnie przewinęła dokument na ekranie – artykuł o dziesięciu sposobach na idealną dekorację świąteczną stołu, który miał być gotowy do jutra rana. Sposób numer siedem: „Złote akcenty dodadzą blasku”. Boże, jakie to było puste.

– Mamo, słucham cię, ale...

– Ale nic! – warknęła matka. – Ciocia Basia już kupiła karpia, a nawet dwa! Bo wie, że jak już musisz, to zjesz tego smażonego, a w galarecie nawet byś nie tknęła. Babcia od tygodnia przygotowuje uszka, te z grzybami z Bieszczad, które zbierała jesienią. A ty mi tu opowiadasz o jakichś artykułach! To już nie praca, to pracobolizm! Zapominasz, co ważne!

Za oknem redakcji Warszawa wyglądała jak z pocztówki: Nowy Świat tonął w girlandach światełek, a na rogu ktoś sprzedawał grzane wino z małego drewnianego domku. Zapach cynamonu i goździków zdawał

się docierać nawet przez szczelne okna biurowca (wyobraźnia robiła swoje), mieszając się z wonią przepalonej kawy z redakcyjnego ekspresu.

– To ważny projekt, mamó. Całą kampanię sponso-
ruje Samsung, to duże pieniądze dla magazynu...

– Pieniądze, pieniądze! – Matka westchnęła tak głoś-
no, że Weronika odsunęła telefon od ucha. – A życie?
Kiedy ostatnio miałaś wolny weekend? Kiedy spotka-
łaś się z kimś nie w sprawie pracy?

Weronika spojrzała na swoje odbicie w ciemnym
oknie. Dwadzieścia pięć lat, magister dziennikarstwa
i kulturoznawstwa z wyróżnieniem, mieszkanie za po-
łowę pensji na Mokotowie – czterdzieści metrów z wi-
dokiem na inne bloki – kariera w mediach, która miała
być przepustką do lepszego życia. A tymczasem wyglą-
dała jak ktoś, kto od tygodni nie sypiał wystarczająco
długo: włosy ściągnięte w niedbały kok, który zrobiła
rano w windzie, pod oczami cienie, których żaden ko-
rektor już nie maskował, na biurku trzecia tego dnia
filiżanka kawy – zimna, z kożuchem z mlecznej pianki
na powierzchni.

– Właśnie byłam na randce – skłamała.

– Naprawdę? Z kim?

– Z... z takim jednym. Poznałam go na Tinderze.

– Na czym?

– Nieważne. Fajny był. Pracuje w IT, jak się okazało, w tej samej firmie.

– I co, umówicie się jeszcze?

Weronika przygryzła wargę. Ostatnia randka? Trzy miesiące temu, z jakimś Sebastianem, który przez całą kolację opowiadał o swojej kolekcji winyli i ani razu o nic jej nie zapytał.

– Może. Zobaczymy. To rozwojowy temat.

– Kiedy ja byłam w twoim wieku – ciągnęła matka, a Weronika bezgłośnie powtórzyła następne słowa razem z nią – miałam już ciebie i twoją siostrę. A ty? Ty żyjesz w tym swoim telefonie jak... jak jakiś robot!

– Nie jestem robotem, mam – mruknęła, zapisując dokument. Ctrl + S, nawyk silniejszy niż oddychanie. – Po prostu mam ważny projekt i...

– A co z Kamilem? Podobno otwiera drugą kancelarię we Wrocławiu. Pyta o ciebie, zawsze pytał. On ma czas dla rodziny. Nie siedzi w internecie do północy.

W internecie do północy – pomyślała Weronika. To brzmiało jak tytuł jej autobiografii. Albo epitafium: „Tu leży Weronika Kochanowska. Zawsze była online”.

Kamil. Miły, przewidywalny, bezpieczny Kamil, który pocałował ją pierwszy raz pod szkołą – pachniał wtedy miętową gumą do żucia i strachem. Pisał do niej wiersze na walentynki – okropne, rymowane „serce w ofierze”, ale pisał. Planował ich wspólne życie już

w liceum: on prawnik, ona w domu z dziećmi, wakacje nad morzem, Wigilie u jego rodziców.

Dwa lata temu, gdy zerwała z nim przez telefon (bo kiedy miała przyjechać osobiście?), powiedział jej: „Ty nigdy nie będziesz szczęśliwa, bo zawsze będziesz szukać czegoś więcej”. Może miał rację. Może to była jej klątwa – wieczne poszukiwanie czegoś, co nie istniało. Jak Duch Przyszłych Świąt u Dickensa, zawsze wskazujący na to, co może być, ale nigdy na to, co jest.

– Kamil kogoś ma – powiedziała szybko, zanim matka zdążyła kontynuować. – Jakąś lekarkę z Wrocławia – wymyśliła na poczekaniu, byle tylko uciąć niewygodny temat. Gdzieś przez wspólnych znajomych obito jej się o uszy, że podobno widywano go ostatnio na mieście z jakąś lekarką.

Cisza.

– Skąd wiesz?

– Widziałam jakieś zdjęcia na Facebooku – rzuciła gładko, brnąc w to dalej, żeby uwiarygodnić swoją wersję.

– Ach. – W głosie mamy pojawiło się rozczarowanie. – No cóż. Może to i lepiej. Za bardzo szastał pieniędzmi.

Weronika uśmiechnęła się mimo woli. Jej matka zawsze potrafiła znaleźć wadę w każdym, kto już nie był potencjalnym partnerem.

– Mamo. Wiem, co to rodzina – powiedziała w końcu, wyłączając... nie, usypiając komputer. Nigdy go nie wyłączała. – Ale mam deadline jutro rano, a potem jeszcze...

– Weronika. – Głos matki stał się nagle cichszy, bardziej błagalny. – Przyjedziesz na Wigilię, prawda? Babcia ciągle o ciebie pyta. Wczoraj dzwoniła, mówiła, że chce ci coś dać. Ma już osiemdziesiąt lat. Ledwo chodzi po tych swoich schodach. Nie wiemy, ile jeszcze...

Weronika zamarła z ręką na klawiaturze. Przez telefon słyszała odgłosy wrocławskiego domu – telewizor nadający wieczorne wiadomości, szczekanie Burka, psa sąsiadów, który reagował na każdy samochód, stukot noża na desce do krojenia (pewnie siostra kroїła warzywa na jutrzejszą zupę – pomyślała z przyzwyczajenia, po czym natychmiast uświadomiła sobie z ukłuciem winy, że przecież Agnieszka od dawna tam już nie mieszkała). Dźwięki, które kiedyś oznaczały bezpieczeństwo i dom. Teraz brzmiały jak pretensje, jak lista rzeczy, z których zrezygnowała w imię kariery.

– Oczywiście, że przyjadę.

– Kiedy?

– Dwudziestego trzeciego wieczorem. Albo rano dwudziestego czwartego.

– Rano? W Wigilię przyjeżdżasz rano? Agnieszka z Piotrkim będą już dwudziestego drugiego! Pomogą mi w przygotowaniach!

– Mam projekt do skończenia...

– A ten to nie może poczekać do stycznia?

Weronika rozejrzała się po redakcji. Było już po dwudziestej drugiej, ale większość kolegów wciąż siedziała przy biurkach, z twarzami oświetlonymi niebieską poświatą monitorów jak współczesne ikony świętych męczenników. Aśka z działu mody poprawiała sesję zdjęciową na jutrzejszy deadline, przeklinając pod nosem fotografa, który „nie rozumie koncepcji minimalizmu”. Tomek z lifestyle'u rozmawiał przez telefon z jakimś szefem kuchni, notując gorączkowo przepis na „dekonstruowanego karpia”. A w kącie, przy biurku z napisem „Marek Kowalczyk – Deputy Editor”, siedział jej najlepszy kolega, przyglądając się zdjęciom na ekranie komputera z miną człowieka, który zastanawia się, gdzie popełnił życiowy błąd.

– Nie może – powiedziała w końcu. – To duży klient, kampania świąteczna, muszę...

– Wiesz co? – przerwała jej matka, a w jej głosie pojawiła się nuta, którą Weronika pamiętała z dzieciństwa: mieszanka rozczarowania i bezradności, ten sam ton, którym mówiła „idź już spać”, gdy jej mała córeczka czytała z latarką pod kołdrą. – Jak skończysz trzydzieści lat, sama jak palec, z tym swoim laptopem na kolanach jako jedynym towarzyszem, to przypomnij

sobie tę rozmowę. Może wtedy zrozumiesz, że pieniądze szczęścia nie dają.

– Mamo, ja...

– Tata cię pozdrawia. Śpi już, jutro wczesnie wstaje do pracy. Niektórzy jeszcze pracują naprawdę, nie tylko klikają w komputer.

Połączenie się urwało. Weronika zastygła na chwilę ze słuchawką przy uchu, słuchając sygnału „zajęte” – kolejny charakterystyczny dźwięk jej życia, jak dzwonek budzika o szóstej rano, ping notyfikacji na Teamsach, szum klimatyzacji w biurze. Wokół niej redakcja żyła swoim nocnym życiem – klawiatury stukały rytmicznie jak deszcz o parapet, ekrany telefonów migały powiadomieniami jak świetliki w letni wieczór, a z kuchni dochodził zapach kolejnej porcji kawy, która pewnie też będzie stać do rana.

– Kłótnia z mamą? – zawołała Aśka, nie odrywając wzroku od ekranu. – Klasyk przedświąteczny. Moja wczoraj płakała, że nie przywiozę wnuków. Jakich wnuków, pytam, jak ja nawet kota nie mam czasu nakarmić?

– Może powinniśmy założyć jakiś klub – mruknęła Weronika. – Samotne Redaktorki przed Trzydziestką.

– Już jest. Nazywa się happy hour w Pierwszej. – Aśka w końcu podniosła głowę. Makijaż, który rano

był perfekcyjny, teraz sprawiał, że wyglądała jak je-
not. – Idziesz jutro?

– Mam wyjazd w piątek. Projekt świąteczny.

– Ten z Markiem? *Lucky you*. Przynajmniej on nie
będzie próbował z tobą kombinować.

Weronika podeszła do biurka kolegi. Wyglądał na
jeszcze bardziej zmęczonego niż zwykle, a to coś zna-
czyło. Dwadzieścia siedem lat, wicedyrektor działu
reportażu, od dwóch lat mąż, od wczoraj ojciec małej
Lenki. Na jego biurku stała ramka ze zdjęciem – on,
Ania i USG dziecka, wszyscy rozpromienieni w ten spo-
sób, w jaki ludzie uśmiechają się, gdy myślą, że wszyst-
ko będzie dobrze.

– Ciężka rozmowa? – Marek podniósł głowę znad
komputera. Pod oczami miał worki jak po tygodnio-
wej imprezie, tyle że on imprezował z Photoshopem
i InDesignem.

– Rodzice – mruknęła Weronika, siadając na brze-
gu jego biurka. Poczuła pod sobą stos wydruków:
briefów, korekt, faktur. Papierowy ślad ich cyfrowego
życia. – A ty co tu robisz? Myślałam, że będziesz z Anią
i dzieckiem.

Marek westchnął i przesunął dłonią po twarzy.
Zarost miał trzydniowy, a tę koszulę nosił pewnie od
poniedziałku.

– Ania śpi, Lenka też. Pielęgniarka powiedziała, że-
bym dał im odpocząć. A ja siedzę tutaj i próbuję skoń-
czyć ten cholerny projekt na jutro. – Wskazał na ekran
pełen zdjęć świątecznych jarmarków. Każde wyretu-
szowane do granic możliwości: śnieg bielszy, jak z tej
reklamy proszku, że „bielsze już nie będzie”, światełka
jaśniejsze, uśmiechy szersze. – Marcin mnie zabije, jak
tego nie skończę.

– Jaki projekt?

– Ten roadtrip. „Gdzie jest duch świąt w Polsce”.
Kilka dni w drodze, Instagram co godzinę, artykuł na
Wigilię. Mam jechać z tobą w piątek.

Weronika usiadła wygodniej, zrzucając na podłogę
stos ulotek reklamowych.

– Marek, twoja córka ma jeden dzień. Jeden! Za ty-
dzień przeżyje pierwszą Wigilię w życiu. A ty mi mó-
wisz, że chcesz jechać na road trip szukać ducha świąt?
Przecież on jest w szpitalu na Banacha, w pokoju dwie-
ście siedem.

– Ty i ta twoja pamięć do drobiazgów – mruknął,
uśmiechając się blado.

– Żadna pamięć do drobiazgów – odparła szybko. – Za-
pamiętałam, bo rano posłałam tam kuriera z kwiatami
dla Ani.

– No rozumiem, ale... ale to może być moja szan-
sa – powiedział cicho, nie patrząc jej w oczy. – Wiesz,

jak długo czekałem na taki projekt? Samsung jako klient, budżet na prawdziwy reportaż, nie tylko sesja zdjęciowa w studio z udawanymi choinkami z Allegro. Jak to wypali, Marcin obiecał mi awans na senior editora. To dodatkowe pięć tysięcy miesięcznie. Wiesz, ile kosztują pieluchy?

– Nie, ale wiem, ile kosztuje nieobecność ojca.

Cisza. Gdzieś w tle Tomek wciąż rozmawiał przez telefon, teraz już o „molekularnej transformacji tradycyjnego bigosu”.

Weronika spozrzała na zdjęcie na biurku Marka – jego uśmiechnięta żona przy choince z zeszłego roku. Piękna, cierpliwa Ania, która studiowała z Weroniką kulturoznawstwo, która chciała pisać doktorat o polskim kinie, ale zamiast tego pracowała w PR-ze firmy farmaceutycznej, bo „ktoś musi mieć stabilne zarobki”. Która przez ostatnie dziewięć miesięcy nosiła w sobie ich dziecko, podczas gdy Marek pracował do późna nad projektami, które „mogą zmienić jego karierę”.

– Wiesz, co powiedział Dickens o pieniądzach? – zapytała.

– Sorry, ale nie jestem w nastroju na cytaty. – Marek otworzył kolejne zdjęcie. Pierogi na talerzu, tak wyfotoszopowane, że wyglądały jak z plastiku.

– Nikt nie jest biedniejszy od tego, kto nie docenia tego, co ma. – Weronika chwyciła ramkę ze zdjęciem.